

Zapalone siarczyki i ciepły popiół

Medycyna przed stu laty

Książka, o której będziemy mówili, została wydana w Warszawie w 1932 r., a tytuł jej brzmi: „Opis chorób właściwych osobom wszelkiego stanu, tudzież sposoby zapobiegania czyli unikania takowych, oprócz środków lekarskich za pomocą higieny. Dzieło doktora F. Patissier, przełożone w krótki na język polski przez Sylwestra Pleszkowskiego, doktora medycyny, ordynującego w szpitalu wojskowym ujazdowskim warszawskim”.

PROJEKT KASY CHORYCH

Ciekawe to dzieło, jest utrzy-

Wśród książek

GERALD VERNER — „Czarny garbus” Powieść. Przekład z angielskiego A. Bronikowskiej str. 194. Cena 2 zł. Wydawnictwo M. Arcta.

H. C. ROWLAND — „Człowiek z tęczką”. Powieść. Przekład z angielskiego R. Czekalskiej — Heymanowej Str. 290. Cena 2 zł. Wydawnictwo M. Arcta.

R. BRAUN — „Manekin”. Powieść. Stron 175. Cena 2 zł. Wydawnictwo M. Arcta.

Książki te należą do serii taniego wydania M. Arcta. Są to powieści sensacyjne, pisane dobrą polszczyzną, przeznaczone dla ludzi, którzy chcą w lekturze znaleźć odprężenie po pracy.

mane w tonie traktatu społecznego, wskazuje przede wszystkim na niezbędność każdego zawodu i konieczność stworzenia przez pracodawców i społeczeństwo odpowiednich warunków dla pracowników, np. odpowiedniego pomieszczenia, urządzeń (zresztą dość prymitywnych) kąpielni i t. p. Wyświadcza również koncepcję ubezpieczenia dla pracowników fizycznych: „niechayby przynajmniej ich choroby i starość w nagrodę trudów znalazły ulgę i przytułek w publicznych zakładach wyłączonej temu celowi przeznaczonych; takowe zakłady oprócz pomocy go rliwego rządu, powinnyby zobowiązać każdego rzemieślnika, ażeby do ogólnej kasy odtrącał część ze swoich zarobków, wśród kwitującego zdrowia w wieku młodocianym zapracowanych”.

Dziś każdy odtrąca wprowadzając znaczne sumy do ogólnej „kasy”, ale jak to się tam dalej przedstawia korzyści z owej „kasy”, wyciągane, to szkoda o tym mówić.

LEKARSTWA „ZWALNIAJĄCE ŻOŁĄDEK”

Naogół określenie chorób zawodowych zarówno pracowników fizycznych, jak i umysłowych i wolnych zawodów, jest trafne. Podane przez autora wskazania higieny, odpowiednia dieta i środki zapobiegawcze dla każdego zawodu, pozostają (z małymi wyjątkami)

na poziomie. Natomiast najczęściej stosowane przez autora środki lecznicze pozostają w wyraźnej sprzeczności z wskazaniami współczesnej medycyny.

Tak więc w chorobach, które powodują napływ krwi do mózgu: płuc oraz we wszystkich chorobach płucnych dr. Patissier poleca puszczenie krwi i pijawki, dla których są stosowniejsze „lekarstwa zwalniające żołądek nad krwi upuszczenia, bo te niszczą siły już osłabione skądinąd przez niespania i prace gabinetowe”.

GORACE CEGŁY I RURKA W GARDLE

Pomoc w nagłych wypadkach jest tak energiczna i męcząca dla chorego, że tylko bardzo silny człowiek może ją znieść. Jako charakterystyczny przykład można przytoczyć sposób ratowania tonących rybaków: „Po wyciągnięciu z wody, należy ich okryć i zbliżyć stopami do ognia, trzymać pod nosem zapalone siarczyki dla zaizolowania tego organu, albo dawać do wachania lotne alkali, lub wody spirytusowe; należy wprowadzić do płuc powietrze za pomocą małej rurki; na brzuchu kładzie się pęcherz napełniony wodą ciepłą; do stóp przykładają się ogrzane cegły; całe ciało ogrzewa się woreczkami, napełnionymi popiołem ciepłym, albo ciepłymi żelazkami, służącymi do prasowania.

albo faierkami; zresztą nie powinien być zaniedbane - nacieranie całego ciała suchymi szcietkami, ciepłą suchą flanelą albo ręką. Jeżeli stan utonionego polepsza się, i jeżeli chory może polykać, należy wlewać kiedy niekiedy, po kilka łyżeczek dobrego wina, albo wódki. Jeżeli twarz robi się nabrzmiała i fioletowa, potrzebne jest krwi upuszczenie, można także udać się do lewatywy z soli i octu, czasem do emetyku, jeżeli język nieczysty”.

KZESY NALEŻY CZERNIEĆ

Ciekawy jest również pogląd doktora Patissier na tak potępiane przez współczesnych okulistów malowanie brwi i rzęs. Gabinety kosmetyczne mogłyby użyć jako reklamy następującej cytaty z jego dzieła: „Wiadomo, że brwi i rzęsy u powiek są przeznaczone dla umiarkowania czynności światła na oczy; jeżeli te brwi i rzęsy są blade, nie odpowiadają zupełnie temu przeznaczeniu; należy je w takim razie po farbować czarno; a wówczas można znosić łatwiej rażenia dziennego światła”.

Pod ostym kątem

Ten biedny Tuwim

Żydz! teraz nie mogą spać spokojnie. Męczy ich ciągle sprawa Tuwima. Taki młody, taki zdolny, a goje nie chcą się na nim ani rusz poznać.

Niejak J. Perle, w jednej z żydowskich gazet szeroko się rozwodzi nad męczeństwem Tuwima.

Oto, jak majster od literatury charakteryzuje żydowskiego poełę:

Łódzki żyd, Julian Tuwim, młody jeszcze człowiek, który w ostatnich kilku latach posłował, jak goiob, jest w obecnej chwili, jeśli nie największym, to jednym z największych poetów polskich. Stoi on na świeczniku współczesnej poezji polskiej i jeśli ktoś go kiedyś nazwał „polskim Helnem” — to nie pomylił się wcale.

Tu już chyba przesadzono, nawet, jak na żydów za dużo przesady. Wprawdzie zaraz niżej p. Perle przyznaje, że Heine miał więcej talentu, ale nawet porównanie go z współtwórcą „Jadzi wido- wy” dowodzi tylko semickiego braku zmysłu równowagi i obiektywności nawet w porównywaniu własnych rodaków.

Dalej p. Perle tak pisze o swym ziomku:

„Chciał zostać Polakiem, nie tak jak pierwszy lepszy asymilant, lecz starał się dowieść swojej polskości czynami o doniołym znaczeniu. I do- wiodł też tego”.

Tym dowodem prawdopodobnie jest słynny komunizujący wiersz o „różnieniu karabinem w bruk ulicy”.

A oto, jak p. Perle krytykuje stosunek Tuwima do żydów. „A Tuwim drwił (z żydów — dop. Redakcji) w taki niepoetycki sposób, na jaki mogą się zdobyć ichorze lub renegaci”.

Nie mamy nic przeciwko temu określeniu w stosunku do Tuwima.

Niech się żydowski krytyk pocieszy, że Tuwim do żydostwa wróci i wrócić musi. Literatura polska i społeczeństwo polskie nie potrzebuje tego rodzaju „mórczości i tego rodzaju asymilatorów”.

B. REZA

W RADOMSKU

zaprenumerować „ABC” można u p. Wacława Szachrajdy ul. Narutowicza 26

Od jednego centa do 7.300 funtów sterlingów

Zawrotna kariera znaczka pocztowego

Rzadkie znaczki pocztowe posiadają własne dzieje, historia zaś wędrowek znaczka Gujany angielskiej, jest pełna niezwykłych przygód i mogłaby stać się tematem sensacyjnej powieści.

W połowie 19-go w. wprowadzono w brytyjskiej Gujanie marki pocztowe, oczywiście angielskie. Ponieważ w stolicy kolonii nie było stosownych przyrządów do drukowania marek, zaczęto je sprowadzać z Londynu. Jeden transport marek wystarczał na czas dłuższy.

Niespodziewany kłopot

Pewnego dnia naczelnik miejscowej poczty stwierdził z przerażeniem, że angielskie marki pocztowe są już na wyczerpaniu. Po kilku dniach w kolonii zabrakło marki. Urząd pocztowy przystąpił więc do drukowania znaczków tymczasowych.

Wykonanie tego planu nie było łatwe. Ciężkim zadaniem drukowania tymczasowej marki, obciążono jedną w kolonii drukarnię, w której drukowane było miejscowe czasopismo. Po długich debatach naczelnik poczty i dyrektor drukarni sfabrykowali markę. Znaleźli gdzieś małą kłiszkę z okładkami, ułożyli gazetowymi czcionkami nazwę kraju i cenę marki, dodali parę linii i marka była gotowa.

Nakład oryginalnej marki był prawdopodobnie bardzo mały, gdyż znaczki te szybko znikły z obiegu i gdyby nie ciekawość pewnego chłopca, ludzkość w ogóle zapomniałaby o ich istnieniu.

Odkrycie na strychu

W r. 1872 mały mieszkaniec brytyjskiej Gujany, Vernion, zaczął przeszukiwać na strychu stare listy, celem zdobycia znaczków do swojego albumu. Na jednej kopercie był czerwono - karminowy znaczek, wartości jednego centa, z napisem „Brytyjska Gujana”. Chłopiec założył go do swego albumu. Nie wiedział oczywiście, że ma w ręku najdroższą markę świata. Marka była brudno - czerwona, ciemna i napis na niej można było zaledwie z trudnością odcyfrować. A chłopcu podobaly się jedynie marki z pięknymi ilustracjami w jasnych kolorach i drukowane na dobrym papierze.

Marka idzie w świat

Vernion postanowił brzydką markę zamienić na coś ładniejszego. Udał się w tym celu do znanego zbieracza marek Mac Kinona. Mac Kinon obejrzał ją i pokiwał głową. Ostatecznie zgodził się zapłacić chłopcu szylinga. Vernion, przekonany, że zrobił wspaniały interes, chętnie zgodził się na proponowaną sumę.

Mac Kinon zaczął badać pochodzenie dziwnej marki i przy tym dowiedział się, o historii druku prowizorycznych marek. Oryginał na marka stała się prawdziwą aksamacją wśród filatelistów i w r. 1882 słynny zbieracz marek Tom Ridpat z Liverpoolu zapłacił za markę 125. — szylingów. O odkryciu małego Verniona powstała cała literatura. Ridpat wkrótce odsprzedał rzadką markę najślaw-

niejszemu zbieraczowi hrabiemu Ferrarri za 155 funtów szterlingów.

Małżek w portmonetce

Podczas wielkiej wojny, hr. Ferrari zmarł, pozostawiając swą fantastycznie drogą markę niemieckiemu rządowemu muzeum pocztowemu. Jednak po wojnie Ententa zasekwestrowała cenne zbiory marek, a między innymi i ten znaczek gujański, konfiskując go na pokrycie sumy reparacyjnej. W ten sposób marka - unikat znalazła się w Paryżu. Wówczas amerykański milioner Artur Hind odkupił jednocentową brytyjską Gujanę za fantastyczną sumę 7.300 funtów szter.

W testamentie Hind drogocenną markę darował żonie. Jest to koleśalny majątek, który można schować w portmonetce. Choć cena niezwyklej marki obecnie już wynosi z górą 1/4 mil. zł. polskich, jednak pani Hind nie sprze- dała jej dotychczas. Zauważyła, że ma- leńkiej marki strzeże jak największego skarbu.

Tak wygląda niezwykle i zawrotna kariera misznej marki, którą przed 80-ciu laty nabył ktoś za centa, a mały uczeń odsprzedał ją za jednego szylinga.

(b. g.)

PALTA GARNITURY
Gotowe i na zamówienie
Bła MACIEJOWSKI
74 Marszałkowska 74

Nagrobek ofiary mordu rytualnego w kościele pobernardyńskim w Wilnie

Swego czasu wielkie oburzenie wśród żydów wywołał cykl artykułów omawiających sprawę mordu rytualnego. Żydzi wściekali się, nazywając autorów tych

artykułów kalumniatorami, fałszerzami faktów itp.

Jednym z najciekawszych dokumentów istnienia mordu rytualnego jest tablica wmurowana

w północnej nawie kościoła pobernardyńskiego w Wilnie. Nad małym sarkofagiem wstawionym we wnękę ściany widnieje łaciński napis:

Pamięci

szlachetnie urodzonego chłopca Szymona Kierelisa w wieku lat siedmiu najokrutniej zamordowanego stu siedemdziesięciu ranami przez żydów i pochowanego w tym kościele w roku 1592 po narodzeniu Chrystusa.

Wybudowany z dobrowolnych ofiar roku pańskiego 1623.

Mimo upływu wieków pamięć o tym okrucieństwie jeszcze nie wygasła i bez trudu można dowiedzieć się szczegółów o śmierci małego Szymona Kierelisa. Żydzi, zwiabiwszy go do siebie, umieszcili w nabitej gwoździami beczce, aby przy obracaniu tej beczki, wydobyć z ciała dziecka jak największą ilość krwi do celów rytualnych. Jakiś przechodzący ulicą Jatkową chrześcijanin usłyszał przeraźliwy krzyk, lecz nim sprowadził pomoc, dziecko wyzionęło ducha.

W STANISŁAWOWIE

zaprenumerować „ABC” można u p. Heleny Staszkievicz ul. Grottera 6—4

„Książę Sahary”



Nowomianowany wicekról Abisynii ks. d'Aosta, którego w Afryce nazywają „Dziecięciem Sahary”

JERZY MARIUSZ TAYLOR

21)

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

A kiedy rosłe parobczaki, zrozumiałwszy, że należą do takiej wspaniałej, niezrównanej rasy, pęczniały z dumy, upojone słowami nauczyciela, wówczas dr Johnke nastawiał głośnik radiowy, aby na zakończenie zebrania posłuchali sobie jeszcze pięknego niemieckiego wykładu propagandowego, albo dobrej muzyki niemieckiej.

Abby jeszcze więcej oddziałał na wyobraźnię tych prostych młodzieńców, ważniejsze zebrania urządzał dr Johnke za cmentarzem, pod wielkim starym dębem, rosnącym samotnie na małym wzgórku, tuż przy wale wiślanym. To było już prawdziwie po starogermańsku. O północy, a zawsze przy pełni księżyca, schodzili się jeden za drugim, witając swego nauczyciela wyciągniętą dłońią i cichym okrzykiem:

— Heil Fuehrer!

Na co otrzymywali równie cichą odpowiedź:

— Heil Brueder!

A potem siadali wszyscy w krąg pod dębem, skupieni i poważni, przejęci tajemniczością otoczenia i panującą dokoła ciszą, którą przerywał jedynie lekki szeleś gałęzi starego dębu w chwilach, kiedy wiatr zawił od rzeki. W tych warunkach chłopcy stawiali się najpodatniejsi do wchłonięcia zasad i pojęć, które chciał im zaszczyścić dr Johnke.

Abby jednak tajemniczość tych zebrania nie powodziła za bardzo i nie straciła swego uroku, trzeba było było zwykłać jak najradziej. Dotąd więc tylko trzy razy organizował dr

Johnke posiedzenia nocne pod dębem. Tutaj zatem, przeskakując przedtem starannie najbliższą okolicę, w obawie, czy nie śpięgię ich czyste nieczyste oko, członkowie Związku Czcicieli Wotana ślubowali swemu wodzowi zupełne posłuszeństwo i wierność. Tutaj też zebrał się dla omówienia sprawy zdobycia Złota Renu, a wreszcie po raz trzeci i na razie ostatni, też w zimie jeszcze, dla odbicia sądu nad „bratem”, posądzonym o niedbalstwo w wykonaniu rozkazów wodza — ba! — gorzej jeszcze, bo o zdradę.

Złoto Renu! Sam dźwięk tych słów nasuwa wspomnienia dramatycznych dziejów zaczarowanego pierścienia Nibelungów, ogarniętego płomieniem stosu martwego Zygfrida, dalekiej i obecnej rzeki, rozciągającej z szumem wartkie wody o szerokie głązy, leżące u podnóża wyniosłych gór, a wreszcie zdrady, bezlitosnej i okrutnej zdrady, doprowadzonej niemal do apoteozy i snującej się czerwona nicią poprzez bohaterские strofy największej sagi germańskiego świata.

Złoto Renu! No, nie! Ich Złoto Renu nie miało nic wspólnego ani z Renem, ani z sagą o Nibelungach. To był tylko kryptonim, kryjący istotny cel, do którego dążyli. A jednak... i tutaj opierało się wszystko na podaniu, lub jeżeli kto woli... na równie mało wiarogodnej baśni.

To było tak. Dr Johnke od dawna już uświadomił sobie dokładnie, że zrobił właściwie wszystko, co mógł zrobić dla znielenia, o ile można się tak wyrazić, młodzieży w kolonii Na Grobli. Nauczył ich „czystej” mowy niemieckiej, wpoił im nowoczesne niemieckie przekonania i zasady, zaszczylił wreszcie tym prostym chłopakom coś w rodzaju kompleksu wyższości, ośwoił ich z myślą, że na wszystkie narody nie należące do świata germańskiego, powinni spoglądać z góry, traktując je jak o twór nieskończenie od nich niższ. Nauczył ich poza tym czegoś jeszcze, czegoś, co stanowiło przedmiot jego specjalnej dumy, nauczył ich mitologii starogermańskiej, napomniwszy ostrożnie, że Wotan, to przecież ten sam Bóg, o którym mówi pastor podczas

nauki religii, że pod mianem jasnowłosego, pełnego cnót Baldura czcili dawni Germanie właściwie Chrystusa, no i, że cała etyka chrześcijańska znajduje swój doskonały odpowiednik w etyce tak zwanych pogan germańskich.

Cóż mógł zrobić jeszcze? Teraz chodziło już tylko o zabezpieczenie niejako stanu posiadania, o utrwalenie tego, co zostało zdobyte. I z tym właśnie największy kłopot, teraz zwłaszcza, w okresie wakacyjnym, kiedy wychowankowie d-ra Johnkego przez nieunikniony udział w pracach starszego pokolenia podpadali siłą rzeczy pod jego wpływ. A dr Johnke wiedział dobrze, że starsze pokolenie kolonii Na Grobli nie tylko nie popiera jego poczynań, ale ustosunkowało się do nich i do jego osoby wręcz wrogo.

Myśli te trapiły młodego nauczyciela na długo przed nastaniem fatalnego okresu. Zdarzyło się jednak, że z pomocą przyszedł mu przedstawiciel właśnie tego zdecydowanie dlań wrogięgo starszego pokolenia. W istocie rzeczy nawet nie była to pomoc, ale rada, lub raczej, dobry pomysł, na który pastor Michels naprowadził go ze zwykłą życzliwością.

Dla d-ra Johnkego pozostało zawsze zdumiewającą zagadką przychylnie ustosunkowanie się doń pastora Michelsa. Przecież pastor nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że od czasu podjęcia wykładów w szkole przez d-ra Johnkego, chłopcy przestali uczęszczać na kazania i nabożeństwa. Jeszcze co młodzi, zachęcani przez rodziców nieprzyjemnym widmem paska, chodzili niekiedy do kaplicy — starszych natomiast nie uświadczyłby tam na lekarstwo. A pomimo to pastor zdradzał wyraźną przyjaźń dla nauczyciela-lebzożnika, a nawet raz posprzeczał się o to gorąco ze swoim najbliższym przyjacielem — wojem Wilhelmem Erninem, który wyszedł wprawdzie z groźnej choroby, w jaką wtrąciło go nieporozumienie z synami, ale teraz pałał do nauczyciela jeszcze większą niż przedtem nienawiścią.

(D. c. n.)